

rozmowa
tygodnia

OLGA LIPIŃSKA
urodziła się
w Warszawie, ukoń-
czyła historię
sztuki na UW
i wydział
reżyserii w PWST,

•O kapitalizmie, publii i kabarecie•

W sztuce i kulturze dominuje gust kołtuna. Wysoka sztuka nigdy nie była egalitarna, to wiadomo. A w odbiorze kultury dominuje dziś telewizja, która w tych czasach musi żyć z reklam.



Rubaszny czerep waszmościów

z OLGA LIPIŃSKĄ rozmawia Przemysław Szubartowicz

reżyserii w PWSi, współtworzyła Studencki Teatr Satyryków. Reżyserowała spektakle teatralne, operowe, a także imprezy estradowe (Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu i Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej FAMA). Największą popularność przyniosły jej kabarety telewizyjne, jak „Głupia sprawa”, „Galux Show”, „Właśnie leci kabarecik”, „Kurtyna w górę”, a obecnie „Kabaret Olgi Lipińskiej”. Przez 13 lat była dyrektorem stołecznego Teatru Komedii, teraz – oprócz kabaretu – reżyseruje spektakle dla Teatru Telewizji.

Zacznijmy od Gałczyńskiego, Pani ukochanego poety: „Gdy wieje wiatr historii, / ludziom jak pięknym ptakiom / Rosną skrzydła, natomiast / Trzęsą się portki pętkom”. Czy ten fragment „Ballady o trzęsących się portkach” z 1953 roku można dziś traktować dosłownie?

Nie zawsze jest tak, jak pisał Gałczyński. Częściej zdarza się, że „w czasie wichury śmieci do góry”. Przykładem był przewrót 89 roku. Zwykle na takich wielkich zmianach zyskują różne pętki, im się portki nie trzęsą, przeciwnie – uważają, że nadśledzi ich czas. No i jak jest, każdy widzi. Czyli nadal uważa Pani, że zetknięcie mentalności wyniesionej z PRL-u z raczkującym wciąż kapitalizmem winno inspirować satyryków?

– Tak, to się tak szybko nie zmienia, myślę, że ta mentalność wciąż istnieje. Dziś pokolenia, które wyrosło w PRL-u, nie kojarzą własnej pracy, pomysłowości, ruszania głową z egzystencją materialną, wciąż pokutuje pogląd, że wszystko musi dać państwo. Inna rzecz, że to, co się u nas w tej chwili dzieje, trudno nazwać kapitalizmem. I ta, powiedzmy,

transformacja ciągle zderza się czołowo z człowiekiem z PRL-u.

Po dwunastu latach naszej wolności mamy na przykład wielkie bezrobocie, więc może kwestie roszczeniowe mają jednak jakieś uzasadnienie?

– Raczej przyzwyczajenie. A co do wolności, przeciętny człowiek miał ją w PRL-u, to znaczy wolność od strachu przed brakiem pracy. Nikt się nie bał o to, że może być głodny, czy że go wyrzucą na bruk. Stąd te resentymenty. Ja nie bronię PRL-u, ale widzę pewne jego zalety dla ludzi słabych, którzy dzisiaj nie mogą sobie dać rady. No, był „ludzki pan”, sekretarz partii, do którego można było pójść, wiele nie załatwił, ale zawsze coś tam przyrzekł. W czasach PRL-u odwykliśmy się od osobistej odpowiedzialności za siebie, za rodzinę, za własną egzystencję. Teraz nikt nikogo z tego nie zwalnia. Chcesz mieć sześcioro dzieci, proszę bardzo, tylko się tymi dziećmi zajmuj i staraj się, by miały coś do jedzenia. Tu jest chyba jeszcze inny kłopot. Czy nie sądzi Pani, że ludzie nie bardzo wiedzą, co z tą wolnością robić, że gubią się w tym wszystkim, że wreszcie po prostu nie rozumieją lub nie potrafią docze-

nieć wolności jako pewnej nowej, nieznanej wartości?

– Jaka wolność obchodzi przeciętnego człowieka, który przez całe życie chodził do roboty, zarabiał jakieś tam pieniądze, miał na czynsz, jakieś mieszkanie, szkołę i lekarza za darmo? To, że nie ma cenzury, że za poglądy nie wsadza się nikogo do więzienia jest cenną wartością dla pewnej warstwy ludzi, dla intelektualistów, artystów, dziennikarzy – twórców kultury. A wolność dla przeciętnego człowieka była w PRL-u. To jest paradoksalne, ale tak właśnie było.

A czy nie sądzi Pani, że ci intelektualiści czy artyści są dziś spychani na margines przez kółtuna, któremu właśnie ta wolność pozwoliła się rozwinąć?

– No, niestety, na przykład w sztuce i kulturze dominuje gust kółtuna. Wysoka sztuka nigdy nie była egalitarna, to wiadomo. A w odbiorze kultury dominuje dziś telewizja, która w tych czasach musi żyć z reklam. Reklamodawcy z kolei żądają, żeby program telewizyjny był jak najszerzej oglądany. I właśnie ta oglądalność nas zabija. Tak jest mechanizm, któremu także poddaje się telewizja publiczna, bo na misję, któ-

rą powinna spełniać, nie ma pieniędzy.

I dlatego na okragło oglądamy piosenki biesiadne?

– To jeszcze pół biedy, ale w telewizji oglądamy rzeczy, które krzyczą o pomstę do nieba. Przecież społeczeństwo będzie takie, jakie wzorce zachowań czy wystawiania się będzie propagowała telewizja. Zawsze było tak, że wielcy intelektualiści i artyści mieli obowiązek proponować widzowi pewne wzorce. A teraz sytuacja się odwróciła, twórcy „Idą pod publisie”. Nie jest ważne, że Teatr Telewizji ma dwa procent oglądalności w porównaniu z biesiadą. Oglądalność nie może być żadnym kryterium! A może jest też tak, że Teatr Telewizji stracił jakąś część publiczności, bo sam stracił pewną dawną, wypracowaną przez lata formę?

– Forma może się zmieniać, ale Teatr Telewizji trochę się pogubił, ponieważ poszedł w kierunku filmu, wyszedł w plener, bawi się różnymi elektronicznymi zabawkami i tak dalej. Z tego wyszedł taki film z lat trzydziestych, a ludzie wolą oglądać filmy współczesne. Moim zdaniem, Teatr Telewizji polega na literaturze i z bliska oglądanej twarzy aktora, wtedy może budzić zainteresowanie

i emocje. Od tej formuły Teatr Telewizji odszedł na rzecz obrazków. Zresztą widzowie mają do wyboru tyle kanałów i możliwości oglądania dużo łatwiejszej sztuki niż teatr. Gdyby w programie „Big Brother”, który stał się nieoczekiwanie popularny, zamknąć Marcina Króla, Stanisława Lema czy Leszka Kołakowskiego, czyli ludzi, którzy mogliby prowadzić emocjonujące dyskusje...

– No nie, to by nie zainteresowało publiki. Publikę lubi pośmiać się z bohaterów podobnych do siebie i potwierdzić, że jej niejednokrotnie chamski sposób bycia jest w porządku, bo w telewizji jest tak samo.

Był kiedyś taki slogan wyborczy Lecha Wałęsy: „Jeden z nas”. Mechanizm programu „Big Brother” jest chyba dość podobny. Profesor Maria Szyszkowska uważa, że propaguje on przeciętność w sposobie bycia.

– Pani Maria określiła to zjawisko bardzo delikatnie. Po prostu cham przestał ukrywać swoje chamstwo, przestał się wstydić, że jest chamskim. Ja pamiętam czasy, kiedy przychodziły listy, że w telewizji ktoś powiedział „dupa”. Pisali to czasami ludzie, którzy na co dzień używali gorszych słów, ale od te-

lewizji, radia czy gazet wymagał pewnej elegancji. Cham czy prostak starał się dowartościować, a teraz ma satysfakcję, że w telewizji bohaterowie „rzucają mięsem”, piją piwo i chodzą w gaciach po mieszkaniach. Dokładnie tak samo jak on.

Ciekawe jest to, że „Big Brother” jest krytykowany przez te same środowiska, co Pani kabaret, choć z innych powodów.

– Jakie środowiska?

Na przykład katolickie.

– Nie mówmy o środowiskach katolickich. Bo na przykład pod środowiskiem „Tygodnika Powszechnego” podpisują się obiema rękami. Natomiast piśmko „Nasz Dziennik” czy gazetka „Niedziela”, które manipulują moimi tekstami, to jest tak głupie, kołtuńskie zjawisko, że się tym w ogóle nie przejmuję, ani nie obrażam. Śmiechy mnie tylko to, z jaką uwagą i zawziętością oglądają moje kabarety.

Jaką postawę przyjmować wobec tego kołtuństwa? Obojętność, walkę, a może wyśmiewanie?

– Oczywiście wyśmiewanie. Kołtuństwo to groźne środowisko, nietolerancyjne, zięjące nienawiścią, judzące. A śmiech, jak wiadomo, to groźna broń.

Stefan Niesiołowski napisał kiedyś, że gdyby żyła Pani w kraju muzułmańskim, już dawno miałaby poderżnięte gardło.

– No właśnie. Kołtunem może być nie tylko prostak, ale także człowiek inteligentny,

stosunek do Rosji. Do tej pory jest tak, że dzieci nie chcą uczyć się języka rosyjskiego, bo Stalin, komuna etc.

– Ja też nie mogę tego zrozumieć. Moim zdaniem, my jesteśmy bardziej związani z kulturą, literaturą i mentalnością rosyjską niż z zachodnią. I ten cały amerykańizm pasuje do nas jak wół do karety.

Pamiętam Pani telewizyjne rozmowy z niezapomnianym Andrzejem Drawiczem. Dziś rozmowa o Rosji kończy się na tym, że „byliśmy pod moskiewskim knutem” i trzeba się od tego wyzwolić.

– Andrzej Drawicz, który siedział w internecie chyba najdłużej ze wszystkich i był wspaniałym, prawym człowiekiem, miał wielu świetnych przyjaciół Rosjan, znał Rosję i jej kulturę jak chyba nikt w Polsce. Oczywiście, Rosjanie nie zapisali się u nas dobrze po wojnie i w czasach PRL-u. Ale jacy Rosjanie? Czy wybitny pisarz rosyjski miał coś wspólnego z NKWD, czy z naszym ubectwem? To Andrzej bardzo dobrze rozróżniał. Myślę, że naszą największą wadą jest nietolerancja i ksenofobia. Nawet uwielbianemu Olisadebe dostało się bananami. Doprawdy, nad wyraz dowcipne!

Ale to się chyba nie bierze z powietrza.

– Owszem, zatrutego. Słucham czasem Radia Maryja. Proszę pana, to jest właśnie fabryka kołtunów i nienawisć, judzenia nieprawdopodobnego, obłudy strasznej!



sługuje się dobrą socjotechniką. Obawiam się tylko, czy zaplecze rozumie liderów, którzy są światli i otwarci. Mam nadzieję, że lewica wyciągnie lekcję z rozpadu AWS-u, gdzie dominowała pazerność, nepotyzm i walka o stolki.

Na przykład Andrzej Czechtot zarzuca liderom lewicy, że nie nazywają rzeczy po imieniu, że nie mówią ostro, kiedy ostro trzeba mówić, że za słabo walczą z kołtunem.

– Zobaczymy po wyborach. Niech pan pamięta, że kołtun to jest też elektorat.

W lewicy pokładane są duże nadzieje. W piśmie „Dida-skalia” Kazimierz Kutź stwierdził niedawno, że istnieje tak silna „aura cenzury kościelnej”, że z wystawieniem „Białego małżeństwa” Tadeusza Różewicza będzie musiał poczekać, aż wygra lewica.

– Ja bym zrobiła „Białe małżeństwo” bez względu na wszystko. Moim zdaniem, nie należy się w ogóle bać żadnej władzy. Podobnie było z Boyem w Częstochowie, gdzie na skutek nacisków Kościoła zdjęto przedstawienie. I tu mam pretensję nie do Kościoła, tylko do tych, którzy to przedstawienie zdjęli! Jeżeli człowiek jest przekonany, że trzeba powiedzieć „nie”, to powinien mówić „nie”.

Anda Rottenberg uległa antysemitkiej nagonce, nie powiedziała „nie”, nie wytrzymała tego napięcia.

– Każdy ma granicę wytrzymałości, ale nie trzeba dawać satysfakcji głupkom i kołtu-

jakim niewątpliwie jest pan Niesiolowski. Nie wiem, dlaczego tak mnie atakuje. Ja nie walczę z Kościołem, lecz z pewnymi zjawiskami, które mu towarzyszą, jak pazerność, stanie ponad prawem, naciski na administrację państwową. Jeżeli ksiądz sprowadza samochody na handel i oszukuje państwo, no to jest zwykłym przestępca. I nie jest ważne, że on chodzi z czarnej sukience. Nie widzę powodu, żeby dla tego specjalnie go chronić. Niestety, wielu naszych duchownych identyfikuje się z Panem Bogiem i wytknięcie im przekrętów przyjmują jako atak na Boga, wiarę czy Kościół.

Zarzuca się też Pani walkę z narodem polskim.

– Proszę pana, ja robię kabaret satyryczny. I nie mogę robić jakiejś apologii Polaka, ponieważ to będzie i tak śmieszne. Kabaret satyryczny jest krzywym zwierciadłem, musi od czasu do czasu pokazać krzywą głowę i rubasznego czerep waszmościów. A przecież w Polsce są też wspaniali ludzie i ci na pewno się nie obrażają, bo nie identyfikują się z moimi bohaterami. Nie ma nic gorszego niż mniemać, że jesteśmy lepsi od innych.

To jest ten stereotyp myślenia, który często Pani przypomina: Niemcy to głupie szwabry, Czesi to pepiki, Francuzi to żabojady...

– A Ruscy to już najgorsze, co może być. A my? A my jesteśmy fantastyczni Polacy! Osobiście przeraża mnie, że Polacy mają w większości zły

Jest demokracja i wolność, więc mówta, co chceta. I w tej demokracji i wolności mogła rozwinąć skrzydła także głupota. I właśnie o tym między innymi staram się mówić w kabarecie. Czytałem niedawno świetny felieton Jerzego Urbana i on napisał na przykład, że nawiązania do Wyspiańskiego, Witkacego, Gałczyńskiego w Pani kabarecie nie są dla ogółu zrozumiałe.

– Wyspiański, Witkacy, Gałczyński, także Fredro. Ten nurt krytyczny w stosunku do naszej „polakowatości” ciągnie się od Słowackiego, chętnie do tej tradycji wracam. Ale to nie szkodzi, że nie jest czytelne dla wszystkich. Wprawdzie każdy twórca chce dotrzeć do wszystkich, żeby każdy mógł w kabarecie, przedstawieniu czy filmie coś znaleźć dla siebie. I trzeba tak robić, żeby każdy znalazł. Oczywiście nie każdy złapie w moim kabarecie cytaty z Witkacego czy Wyspiańskiego, ale dziwi mnie, że dziennikarz „Naszego Dziennika” (myślę, że wykształcenie wyższe) nazywa brednią cytaty z „Wesela”, przepisuje te słowa mnie i ostro mnie za nie karci. No, to jest zjawisko ekstremalne, ale inni widzowie też nie zawsze rozumieją Pani intencje.

– Rzeczywiście, na przykład piosenka ewidentnie wyśmiewająca antysemitów została odebrana przez niektórych widzów jako antysemitka. Ja robię kabaret parodystyczny, ironiczny, a polska publiczność bardzo często traktuje

pewne rzeczy dosłownie. W tym sensie rozdziew między nadawcą a odbiorcą bywa kłopotliwy.

A co się właściwie stało z kabaretem satyrycznym czy literackim? Mam wrażenie, że Pani kabaret jest ostatnim z tego nurtu, który wypracował STS, Starsi Panowie, Piwnica pod Baranami czy Salon Niezależnych?

– Jest mi coraz trudniej go realizować, aktorzy się spieszą, nie mają głowy do jednej sprawy, a pewne rzeczy trzeba robić w skupieniu i bezinteresownie. Zdzisław Pietrasik napisał słusznie w „Polityce”, że dziś nie można by zrobić „Rejsu”, bo taki film wymaga właśnie bezinteresownego i chętnego przebywania ludzi ze sobą przez jakiś czas. A dziś tego czasu nikt nie ma.

A co z kabaretem studenckim?

– Niech się pan przyjrzy studentom, też nie mają czasu. Studenci z mojego okresu studiów mieli dużo czasu, nikt nie starał się o pieniądze na czesne. Ja się naprawdę cieszę, że moja młodość przypadła na czasy niekomercyjne. Ja i moi koledzy mieliśmy czas na kółka naukowe i kabarety. Cały powojenny kabaret satyryczny wywodzi się właśnie z kultury studenckiej, co zresztą było wielką zasługą wyklętego dziś ZSP.

Dlaczego dziś, kiedy nie ma cenzury, jest tak mało dobrych kabaretów?

– Ponieważ niektórzy satyrycy po przewrocie zaangażowali się politycznie po jednej

stronie. A satyrykowi nie wolno angażować się po żadnej stronie, bo to jest dla niego śmierć. Po prostu nie wypadało krytykować i śmiać się z nowej władzy, ponieważ „wreszcie jesteśmy we własnym domu”, i nie wolno było szukać pęknięć tam, gdzie się coś nowego rodzi. Pozwoliłam sobie poszukać tych pęknięć. „Gazeta Wyborcza” odsądziła mnie wtedy od czci i wiary za naruszenie świętości, a ja dalej myślę, że satyrycy mają obowiązek krytykować wszystkie świętości, bo inaczej urodzi nam się święta krowa. I, niestety, urodziła się.

Jackowi Kaczmarskiemu, dawnemu bardowi opozycji, też dostało się od „Gazety Wyborczej”, ponieważ pokazał w książce „Autoportret z kanalia” i w nowych pieśniach solidarnościowy etos w niezbyt jasnym świetle.

– Ten etos się rozkłada i cuchnie. W ostatnim kabarecie jest taki smutny finał, że za forszę sprzedaje się sny narodowe. W PRL-u wszyscy byliśmy razem, artyści, dziennikarze, publicyści – twórcy kultury. I wszyscy razem sniliśmy. I nagle po przewrocie okazało się, że sny były różne.

I mówiło się, że kolaborowała Pani z komuną, łatwego życia nie miał też Tadeusz Łomnicki, bo był w partii.

– A co to mnie obchodzi, że Łomnicki był w partii?! To był wielki aktor i tyle. A mnie okrzyknięto kolaborantką za to, że wyśmiewałam postawę fałszywych kombatanów, którzy w PRL-u mieli się

wcale dobrze. Nikt ich nie bił po nerach, jak Michnika czy Kuronia, którzy mają pełne prawo mówić o szykanach. Ale akurat nie artyści. Także miałam kłopoty z cenzurą, jak wszyscy, ale ponieważ nie znoszę fałszywego kombatanctwa, nie chwaliłam się tym głośno.

Jest też taki pogląd, że cenzura, przy całym jej złu, była dla artystów inspirująca, że ich mobilizowała.

– Nie, ja się z tym nie zgadzam. Cenzura nigdy nie jest inspirująca. Ale coś za coś. Była cenzura, był też mecenat państwowy, który sypał pieniędzmi jak z rogu obfitości. Dzisiaj twórcy sami muszą zarobić, a komercja też staje się cenzurą.

Część mojego pokolenia, które PRL-u nie pamięta, bardzo pesymistycznie patrzy w przyszłość. My nie chcemy myśleć o pieniądzach, ale nie mamy czasu myśleć o naszych pasjach.

– Ale właśnie pielęgnowanie własnych pasji jest najważniejsze! Niczego nie można robić wyłącznie dla pieniędzy. Jak długo może się pan cieszyć nowym samochodem czy nowymi butami? Praca tylko dla forsy powoduje frustrację. A radość życia polega na realizowaniu własnych pasji.

Dużo mówiliśmy o prawicy, a co Pani myśli o współczesnej lewicy w Polsce?

– Uważam, że zarówno po prawej, jak i po lewej stronie jest mnóstwo szmaciaków, poza liderami, których zresztą prawica prawie nie ma. Lewica jest zwarta, po-

nom. Niech sobie gadają, co chcą. Ja miałam w telewizji okropne stosunki za czasów „pampersów”. Traktowali mnie jak ostatniego śmiecia, płacili grosze, czekali, aż trzasnę drzwiami i sobie pójde. Nie poszłam.

Jak Pani myśli, od czego zależy powodzenie społecznego renesansu, na który czekamy?

– Podstawową sprawą jest oświata i kultura, bez tego ani polityka, ani gospodarka nie mają większych szans. Na przykład Unia Wolności przegrała, bo odpuściła kulturę i edukację, a właśnie Unia powinna być strażnikiem tego, co najważniejsze.

A może szansą jest Unia Europejska?

– Nasze wejście do Unii Europejskiej może być rzeczywistością szansą. Myślę, że to wszystko jakoś się ułoży, że następne pokolenia to wyprostują. Może nie będzie już tych etosów, partyjnych doktryn, różnych nierealnych idei politycznych. Nas, wyjątkowy, wybrany i nadzwyczajny naród, Unia w jakimś sensie też wyprostuje, ktoś nam wreszcie powie, że jesteśmy takim samym narodem, jak każdy inny, tylko w dodatku biednym.

I na koniec też Gałczyński: „Bardzo żałuję, ale ja w tych warunkach pracować nie mogę”. Mam nadzieję, że nigdy Pani tak nie powie.

– Nie, nie powiem tego. Ja mogę pracować w każdych warunkach.

Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia PAT